

La bella Italia, czyli moje pierwsze włoskie doświadczenia



Autor opracowania z prof. Luigi Migone, ówczesnym szefem ośrodka nefrologicznego w Parmie

Przed dwoma miesiącami zwróciłem się do członków naszej społeczności akademickiej z propozycją podzielenia się swoimi przeżyciami związanymi z podróżami bardziej lub mniej odległymi i ich skutkami edukacyjnymi. Jak dotąd mój apel pozostał bez odpowiedzi, ale nie wątpię, że dołączymy się wielu ciekawych relacji. Dla zachęty przedstawiam poniżej kolejne wrażenia związane z ważnym z punktu widzenia mojego rozwoju akademickiego blisko półrocznym wyjazdem naukowym.

Uprzednio opisałem moje wrażenia z zasnutej mgłą Albionu, a obecnie zmierzam wprost do słonecznej Italii. Jest to piękny kraj, z którym wiąże mnie szereg sympatycznych wspomnień. Było to jednocześnie miejsce, do którego wybrałem się w pierwszą „dorosłą” podróż naukową. Miało to miejsce w późnych latach siedemdziesiątych (1976-1977), a mój staż naukowy był możliwy dzięki uzyskaniu stypendium w ramach współpracy kulturalno-naukowej między rządem włoskim a polskim. Musiałem zdać stosowne egzaminy z języka angielskiego w rodzimej uczelni, a następnie w Ministerstwie Zdrowia i Opieki Społecznej. Kolejnym etapem było wystąpienie o paszport służbowy, który uzyskałem w odpowiednim Departamencie wspomnianego Ministerstwa. Tym razem mój wyjazd nie wzbudził żadnego zainteresowania służb specjalnych, być może dlatego że paszport był wydawany w Warszawie. Pomimo iż jechałem służbowo, to oczywiście nie zostałem wyposażony w żadną dietę, a jako posiadacz paszportu służbowego nie mogłem nawet nabyć przysługującego podówczas podróżującym ze zwykłym paszportem podróżnych 10 dolarów. Na pani naczelnik z Departamentu Zagranicznego MZiOS nie zrobiło wrażenia nawet moje oświadczenie, że zakupię niele-

galnie owe 10 dolarów i będę je przemycił w skarpetce, co istotnie uczyniłem. Miałem początkowo jechać do Pizy, w której szefem Kliniki był zajmujący się nefrologią prof. Sergio Giovanetti, jeden ze słynnych twórców diety nisko-białkowej stosowanej w leczeniu chorych z przewlekłą niewydolnością nerek znanej do dzisiaj pod nazwą diety Giordano-Giovanettiego. Nawiasem mówiąc, prof. Giordano miałem okazję poznać osobiście wiele lat później na Sycylii, kiedy to w wieku lat 90 udawadniał niezmiennie zalety owej diety. No ale wracając do lat siedemdziesiątych, niedługo przed moim planowanym wyjazdem przyszedł list z przeprosinami od prof. Giovanettiego, iż z powodu rozbieżności pomiędzy władzami Uniwersytetu a dyrekcją Szpitala jest on pozbawiony dostępu do chorych i sam wybiera się w podróż naukową do Stanów Zjednoczonych. Sytuacja taka zadziwiła mnie, ale widać bracia Włosi wyprzedzili w tym względzie o wiele lat historię, które obecnie zdarzają się w naszym kraju. Następnym typowanym ośrodkiem była Parma, a tamtejszy szef prof. Luigi Migone nadesłał list z zaproszeniem do spędzenia przewidzianego blisko półrocznego pobytu w kierowanej przez niego Klinice. Spakowałem się zatem, pożegnałem z żoną i synami i poleciałem do Mediolanu, a stamtąd pociągiem dotarłem do Parmy. Na dworcu szczęśliwie znalazłem autobus, którym w godzinach popołudniowych dotarłem do Ospedale Maggiore, czyli Wielkiego Szpitala. Okazało się, że Profesora nie ma, bo jest w swoim prywatnym studio, a nikt nie wie o moim przyjeździe ani co ze mną należy zrobić. Działo się tak pomimo iż dzień przed wyjazdem, narażając się na dodatkowe koszty wysłałem telegram, który odnalazł się potem pośród stosu innych mniej lub bardziej potrzebnych papierów na biurku w gabinecie Profesora. Trzeba też dodać, że wszyscy byli bardzo mili i sympatyczni, ale generalnie trudno było z nimi się porozumieć, ponieważ język angielski posiadali w znacząco bardziej niedoskonałym stopniu aniżeli moja szkolno-studencka angielszczyzna. No ale w końcu po jakimś czasie pojawił się prof. Luigi Migone, przywitał się grzecznie, po czym oświadczył, że ponieważ w dniu następnym (piątek) jest Święto Zwycięstwa (sic!), a potem weekend, powinienem udać się do hotelu, a w Klinice pojawić się w poniedziałek rano. Co do tego święta to okazało się, że Włosi obchodzą Święto Zwycięstwa w I Wojnie Światowej, no bo trudno uznać, żeby zwyciężyli w tej II. Ponieważ z moich 10 omawianych już dolarów zostało niespełna cztery po zakupie wody mineralnej i biletu na autobus z lotniska na dworzec w Mediolanie i z dworca w Parmie do Szpitala postanowiłem, że nie dam się spławić. Po bardzo uprzejmej wymianie poglądów prof. Migone przypomniał sobie swój pobyt

w Polsce przed kilku laty i sytuację ekonomiczną braci Polaków w szczególności co do możliwości wymiany naszej złotówki na tak zwane waluty wymienialne. Nawiasem mówiąc wysokość mojego stypendium nie była zastraszająco wysoka bo wynosiło ono 200.000 lirów miesięcznie, tzn. równowartość około 200 dolarów. Tak czy inaczej była to kwota wyższa niż dziesięć moich ówczesnych miesięcznych poborów w Polsce. Profesor, który był wysoko postawiony we władzach Chrześcijańskiej Demokracji, a przez pracowników określany jako „Grande Barone di Partita Democristiana” umieścił mnie tymczasowo w bursie dla studentów i doktorantów zagranicznych prowadzonych przez zakonników spod znaku św. Franciszka. Miałem tam zapewniony sympatyczny pokój i całodzienny wikt bez ponoszenia jakichkolwiek kosztów. Jakiś czas potem okazało się, że czeka na mnie pokój w domu asystenta, ale we wszechobecnym chaosie ktoś zapomniał tę informację przekazać do sekretariatu Kliniki. Moje pierwsze zetknięcie się z Włochami jak wspominałem było bardzo sympatyczne i takie pozostało do końca. Uważam zresztą, że pewne zachowania i sposób bycia wykazują dużą dozę podobieństwa pomiędzy naszymi narodami. Przypomina mi się w tym momencie zasłyszana wiele lat temu pogląd, że Słowianie wcale nie byli Inianowłosymi i niebieskookimi osobnikami przybyłymi na te tereny z północy, natomiast protoplaści Słowian mieli przybyć z południa Europy między innymi z terenów obecnych Włoch, podążając za cofającym się lodowcem i posiadali raczej ciemny kolor włosów a oczy bardziej lub mniej piwne. Oczywiście ze względu na posiadane podówczas cechy osobnicze ta teoria bardzo mi odpowiadała, ponieważ miałem się za w pełni tego słowa typowego Słowianina. Jak wspominałem na początku niewielu mieszkańców pięknej Italii władało językami obcymi, w tym językiem angielskim. Wyjątkiem był prof. Migone, który nauczył się tego „naukowego esperanto” dosyć późno, ale władał nim całkiem biegle. Niemniej po to, aby móc się komunikować z kolegami lekarzami, a także z personelem laboratorium, w którym dokonywałem swoich doświadczeń naukowych, no i z pacjentami, musiałem chcąc nie chcąc nauczyć się języka włoskiego. Udało mi się to w stopniu całkiem niezłym, ponieważ pod koniec pobytu miałem przyjemność wyklądać w ramach tamtejszej Scuola di Nefrologia. Wiąże się z tym faktem pewna zabawna historia, ponieważ mimo iż byłem skromnym adiunktem, w mojej „włoskiej klinice” tytułowano mnie jako „professore”. Taki mały plakatik z ogłoszeniem o moim wykładzie z uwzględnieniem tytułu „professore” przesałem wraz z listem do mojego Mistrza, podówczas docenta Andrzeja Manitusa z informacją, iż właśnie zostałem profesorem. Liczyłem oczywiście na poczucie humoru mojego Szefa, jak też jeszcze bardziej na kojące działanie czasu, który miał upłynąć do mojego powrotu do kraju. Takie Szkoły Nefrologii istniały w akredytowanych ośrodkach akademickich w całym kraju i stanowiły formę systemu zdobywania specjalizacji z zakresu nefrologii. Dla uzyskania specjalizacji lekarze pracowali najczęściej w ośrodkach na wolontariacie nie



Katedra i Baptysterium w Parmie

otrzymując żadnego wynagrodzenia przez okres trzech lat. Ich źródłem utrzymania były dyżury oraz dwa razy do roku zastępowali przebywającego na urlopie lekarza rodzinnego przez okres miesiąca. Skoro wystarczyło im to na jako takie utrzymanie w ciągu całego roku to można sobie wyobrazić jakie były miesięczne zarobki takiego „medico condotto”. Z posiadanych przeze mnie informacji stanowiły one wielokrotność płacy przysługującej dla przykładu profesorowi zatrudnionemu w uniwersytecie. No ale profesorowie mieli też całkiem niezłe, o czym mogłem się przekonać wielokrotnie nawiedzając dom mojego pryncypała, który zapraszał mnie wielokrotnie do siebie przy różnych okazjach. Podobnie zresztą byłem zapraszany do kolegów pracując w ośrodku kierowanym przez prof. L. Migone. Trzeba sobie uświadomić, że była to prawdziwa kuźnia kadr nefrologicznych, a szereg uczniów mojego włoskiego Mistrza zajmował kierownicze stanowiska w klinikach w Brescii, Mediolanie, Weronie, Piazency, Modenie czy nawet odległym Neapolu. Natomiast moi ówcześni koledzy stanowią obecnie trzon profesury nefrologicznej we Włoszech. Nic zatem dziwnego, że prof. Luigi Migone był nazywany także „Grande Barone di Nefrologia Italiana”, a formalnie dożywno pełnił funk-



Plac Garibaldiego – centralny punkt miasta

cję Honorowego Prezesa Włoskiego Towarzystwa Nefrologicznego. Ośrodek parmeński był zresztą znany podówczas w Europie także z prowadzenia rewolucyjnej jak na owe czasy metody dializowania trzy razy w tygodniu po 4-5 godzin. Dokonywał tej swoistej „rewolucji” uczeń L. Migone, wykształcony w Seattle prof. Vincenzo Cambi. W mojej nauce języka włoskiego pomogło niewątpliwie również, to że Włosi kochają mówić. Najczęściej poruszają dwa tematy, z których jeden to szeroko rozumiana polityka, a drugi to jedzenie. Nie wiem zresztą, który tak naprawdę jest na pierwszym miejscu. Typowy Włoch bowiem kocha jeść i potrafi o jedzeniu opowiadać bardzo obrazowo i przekonująco. Pamiętam mojego przyjaciela Antonia, który wykonując skomplikowane eksperymenty na szczurzej nerce, włącznie z zakładaniem mikrocewników do cewek nerkowych, potrafił przez dwie godziny opowiadać jak to jego żona przygotowuje i przyprawi na obiadową kolację królika, no i w efekcie jaki on będzie miał smak podczas jedzenia. A był rzeczywiście znakomity, bo zostałem zaproszony na jego konsumpcję a na dodatek jego smak podniósł się wyraźnie na skutek podlania go lekko schłodzonym czerwonym delikatnie musującym winem Lambrusco. Jeśli chodzi o po-

litykę to ciągle spierali się lub kłócili moi przyjaciele Włosi którzy byli zwolennikami dwóch podówczas największych ugrupowań politycznych, czyli reprezentantów chrześcijańskiej demokracji i komunistów. Najbardziej typowym obrazkiem były debaty przez płótek w sąsiadujących ze sobą kawiarniach obleganych przez zwolenników różnych partii na miejscowym Piazza Garibaldi. Nawiasem mówiąc w każdym szanującym się mieście włoskim jest plac Garibaldi, najczęściej mieszczący jego statuetkę. Jako żywo przypominało mi to sytuację z sąsiadującego z nami wielkiego kraju, w którym z kolei były to na ogół place i statuy Lenina. No ale w końcu to Garibaldi w dużym stopniu przyczynił się do zjednoczenia Włoch i istnienia tego sympatycznego kraju w obecnej postaci. Natomiast wracając do rozmów politycznych to podczas pobytu w Parmie zrozumiałem, co to znaczy eurokomunizm. Należy dodać, że w owym czasie „Partita Comunista” miała duże wpływy i mogła nawet teoretycznie wygrać nadchodzące wybory. Jako ciekawostkę trzeba przypomnieć, że przywoził jej autentyczny markiz Belinguer, który zamieszkiwał w przepięknym rodzinnym pałacu i posiadał liczne dobra. Miałem też okazję przy szklance wina zapytać profesora fizyka z Uniwersytetu Parmeńskiego, który był jednym z sekretarzy KC Komunistycznej Partii Włoch o plany po wygraniu wyborów. Jako człowiek, który przeszedł na studiach obowiązkowe szkolenie w zakresie marksizmu i leninizmu stwierdziłem, że po wygraniu wyborów pierwszym krokiem jaki powinni zrobić komuniści we Włoszech będzie upaństwowienie środków produkcji, czyli po prostu likwidacja kapitalizmu. Mój rozmówca zachnął się i stanowczo oświadczył, że takiego kroku nie planują ani w bliższej ani w dalszej przyszłości. Widać z tego, że co kraj to obyczaj, no i że komunizm komunizmowi nierówny. Zresztą szczęśliwie tych wyborów, jak też żadnych następnych komuniści jednak nie wygrali. A na koniec opisu tych pouczających dla mnie okoliczności warto jeszcze zwrócić uwagę na dużą skłonność naszych przyjaciół Włochów do strajkowania. Ale w zdecydowanej większości nawet strajk generalny, czyli „sciopero generale” nie wiązał się w żadnym stopniu z paleniem opon czy w najlepszym przypadku kukiel polityków strony przeciwnej. Najczęściej miał charakter ogólnonarodowej fiesty i był ogłaszany także z okazji zwycięstwa piłkarskiej reprezentacji Włoch nad Anglią.

Na koniec warto wspomnieć, że Parma poza sławnym ośrodkiem nefrologicznym słynie przede wszystkim z produkcji smakowitych wyrobów kulinarnych. Należą do nich niewątpliwie Grano Parmigiano czyli po prostu parmezan oraz Prosciutto di Parma, czyli sławna na całym świecie szynka parmeńska. Panie zapewne pamiętają zapach fiołków parmeńskich (violetti di Parma), z których wyrabia się perfumy o tym zapachu i nazwie. Natomiast miłośnicy literatury pięknej wiedzą, że nieopodal Parmy znajduje się rozsławiona przez Stendhala pustelnia parmeńska, czyli Certosa di Parma.

prof. Bolesław Rutkowski



Jedna z urokliwych uliczek Starego Miasta



Tak się wyrabia sławne Prosciutto di Parma